

Bohaterami tej części pamiętnika będą w dużej mierze krzesła. Choć łączyć je będzie wspólne, lankijskie pochodzenie, albo przynajmniej wspólne miejsce zamieszkania, dzielić je będzie na dwie wyraźnie rozgraniczone grupy wykonywany zawód. Obok zwykłych krzesel parających się wspieraniem niektórych kręgowców w uciążliwej walce z grawitacją, spotkamy też krzesła zaangażowane w życie artystyczne Cołombo. Ich guru okaże się oczywiście Tushita, czyli prześladowana nieco przez piszącego te słowa wschodząca gwiazda lankijskiej kinematografii. Dodam już z całą powagą, iż krzesła dzięki świetnej reżyserii Tushity wypadną naprawdę znakomicie...



Nim jednak nastąpiło moje pierwsze spotkanie z krzesłami,

musiałem poczuć się lepiej. Okazało się to możliwe nie tylko dzięki lekarstwom, ale też za sprawą zmiany pogody. Przez wiele dni nie padało i dzięki temu atmosfera wyspy stała się suchsza. Napór najeźdźców na mój organizm ustąpił i mogłem się zająć wizą. Wymagała ona przedłużenia, a jakoś nie chciałem obudzić się pewnego dnia, na wyraźnie zmilitaryzowanej i policyjnej Sri Lance bez niej. Kraj ów nie posiadał nawet polskiej ambasady, zatem sprawa mogła okazać się poważną. Oczywiście Kowshalya i Tushita robili wszystko, żeby mi pomóc. Zadzwonili do biura paszportowego, a nawet do dalszego wujka, który tam pracował. Dowiedzieli się dość niepokojących rzeczy, zatem żałowałem, iż w ogóle ich pytałem, choć oczywiście doceniałem ich serdeczne starania. Ze Sri Lanki nie można było wejść na stronę odpowiedniego urzędu, udało się to natomiast mojej Kai z Indii. Okazało się iż adres biur się zmienił o ładnych dziesięć kilometrów. Na Lance taka różnica może oznaczać wiele godzin...

Wreszcie wyszedłem z domu z kartką, na której Kowshalya wypisała mi dokładnie pytania jakie powinienem zadać kierowcy, aby przesiąść się dobrze i dotrzeć tam gdzie trzeba. Inskrypcje na kartce były dwujęzyczne – angielskich mogłem używać samodzielnie, natomiast syngaleskie hieroglify miałem pokazywać w ramach poruszanych kwestii. Ja jednakże poczułem się wreszcie wolny. Wsiadłem do pierwszego autobusu, rzuciłem pewnym głosem nazwę docelową i zasiadłem sobie wygodnie przy otwartym oknie. Przede mną, nad siedziskiem kierowcy, migotały dziesiątki lampek wyobrażających moce zgromadzonych tam Buddów. Było coś niezwykle narkotycznego w tych wirujących bez opamiętania, choinkowych kręgach, ale nie mieliśmy wypadku. Wsiadłem w śródmiejskiej Borelli. Nie chciało mi się przesiadać na inny autobus, zatem przeszedłem się na piechotę. Okazało się, iż nie czekała mnie długa droga, zaś pogoda była całkiem przyjemna.



Szedłem chyba do czegoś nazywanego „małą Borellą”. Po drodze zaczynały się na dobre budynki doby kolonialnej. Po lewej stronie miałem okazję ujrzeć jakiś wielki, neopalladiański urząd. Zaraz później szedłem przy murze ogrodów arcybiskupa. Jego pałac również został utrzymany w jak najbardziej neopalladiańskim stylu. Ulica, którą szedłem posiadała dwie nazwy. Najczęściej używaną była „Old Maredana Road”. Było to specyficzne dla tej części świata. Również Navaneet miał w Chennai podwójny adres mieszkania – stary i nowy numer. Aby jakikolwiek list doszedł trzeba było napisać oba. Ulica, przy której znajdowało się biuro paszportowe, nieco mnie zaskoczyła. Nie chodziło bynajmniej o swoisty rodzaj wydłużonego ronda na skrzyżowaniu dróg. Znajdowała się na nim jak zwykle świątynka buddyjska, inną opcją był większy

posąg Buddy w oszklonym pawiloniku. Sklepy i restauracje przy ulicy miały bardzo muzułmański charakter, obok syngaleskich liter widniały na nich też litery arabskie. Zaskoczył mnie przede wszystkim fakt, iż w czasach „wojny z terroryzmem” przeniesiono tak strategiczny urząd w samo serce dzielnicy arabskiej. Piszę „arabskiej”, gdyż lankijscy muzułmanie zwani są Maurami i w przeciwieństwie do ich indyjskich, czy pakistańskich odpowiedników mają rzeczywiście korzenie arabskie. Spore ilości arabskich kupców zostały udokumentowane na Sri Lance na wiele set lat przed nastaniem islamu. Jakkolwiek by nie było, dzielnica była sympatyczna, zaś skrywające starannie swoje włosy kobiety uśmiechały się do mnie serdecznie z kolejek w sklepach.

Gmach biura paszportowego wznosił się imponująco nad stosunkowo niską, choć tłoczną zabudową okolic. Nastraszony przez moich przyjaciół liczyłem na bardziej kameralne biuro, w którym można choć pokrótce przedstawić swoją sprawę. Wszedłem jednak i pomimo niepewności, poczułem się spokojniej. Wewnątrz były tłumy ludzi, oraz na szczęście sprawna informacja. Wjechałem na trzecie piętro, gdzie trafiłem do sali pełnej krzesel i okolonej biurami. Było tu sporo osób, lecz większość z nich siedziała na krzesłach. Zdziwiło mnie to, lecz nie marnując czasu ustawiłem się w okienku wizowym. W kolejce zaznajomiłem się z Niemcem, który udzielił mi kilku wskazówek na temat wniosku wizowego. Miałem już wcześniej wydrukowane z Internetu materiały, które okazały się nieaktualne. Pospiesznie wypełniłem nowy wniosek, lecz nie zwróciłem uwagi na to, iż posiada on dwie strony. Uzupełniałem go już na oczach urzędnika, który na szczęście był zajęty rozmową. Choć wuj Kowshalyi kategorycznie stwierdził, iż muszę poprosić o jedynie miesięczne przedłużenie wizy, gdyż inaczej mogą być problemy, wpisałem dwa miesiące, gdyż potrzebowałem jakiś 40 dni. Posłuchałem też rady Niemca i zadeklarowałem iż posiadam kartę kredytową, choć jej nie miałem. Gdy urzędnik spojrział na mnie w końcu, próbowałem mu wcisnąć jakiś mój artykuł o Indiach z sieci, tak aby zrozumiał, iż nie jestem li tylko

turystą, ale też badaczem (oczywiście non – profit). Tak jak w indyjskim filmie zagadywałem go zupełnie na siłę, on zaś chciał za wszelką ceną schować gdzieś mój wspaniały dokument wraz z paszportem i nie myśleć o mnie więcej. Jak się jednak okazało, moja nachalność przyniosła dobre owoce, gdyż później na wszelkich etapach tworzenia się lankijskiej wizy moje imię wyczytywane było jako jedno z pierwszych, choć do biur przybyłem jako jeden z ostatnich.

Krzesła, którymi życzliwie zaludniono urząd, okazały się nader przydatne. Trzeba było czekać na to, aż wniosek o wizę (lub jej przedłużenie) zostanie zaakceptowany, po czym należało zapłacić i czekać na paszport z wbitą wizą, wyglądającą nader skromnie zważywszy na dość sporą kwotę pieniędzy, jakiej wymagała. Wpierw nie ośmieliłem się ruszyć, i słusznie, gdyż ku zdumieniu osób obserwujących moje poczynania, niemal natychmiast moja wiza została zaakceptowana i musiałem za nią zapłacić. Później zdecydowałem się wyjść na jakąś herbatę i na konspiracyjnego papierosa. Schowałem się za jakimiś rykszami, zaś ich kierowcy patrzyli na mnie z uznaniem i sympatią, również wyraźnie niezadowoleni z restrykcyjnego rządu. Gdy wróciłem, zająłem się pisaniem wiersza i obserwowaniem zgromadzonych tu osób. Dawno już nie widziałem białych turystów, zatem z poczuciem czegoś niezwykle egzotycznego spozierałem na gruboskórną parę potomków kanadyjskich, frankofońskich rybaków, która oglądała nader dokładnie jakieś nowe modele samochodów na laptopie. Przed oczami tańczyły mi ich tatuaże, zaś w powietrzu unosiły się francuskie przekleństwa. Większość zgromadzonych stanowili jednak Pakistańczycy i Hindusi. Ucieszyłem się, iż przynajmniej na Sri Lance posiadacze pakistańskich paszportów traktowani są jak osoby najzwyklejsze na świecie.

Po jakiś trzech godzinach stania i siedzenia na przyjaznych krzesłach, wreszcie mogłem wyjść na zewnątrz. Wizę przedłużono mi bardziej niż bym chciał, zatem byłem ubezpieczony na wypadek jakichś przesunięć czasowych przy załatwianiu wizy

indyjskiej, co najpewniej czekało mnie za miesiąc. Do Kotikawatty wróciłem samodzielnie. Zabłądziłem tylko trochę, bowiem zmylony kępami palm wysiadłem trzy przystanki wcześniej. Wyszło mi to na dobre, gdyż miałem okazję porobić trochę zdjęć kanałom, mokradłom i zanurzonym w tym wszystkim domom. Co ciekawe, wciąż odkrywam, iż wśród nowej zabudowy Colombo i jego obszarów podmiejskich zawsze można znaleźć jakiś promień starej zabudowy. Zatem stolica Sri Lanki rozwijała się inaczej niż Delhi. Nie ograniczona z góry wyznaczonym obszarem, jeszcze w pierwszych dniach motoryzacji była rozrzucana niedbale na terenie, który zajmuje też obecnie w znacznie bardziej intensywny sposób. Na dawnych zdjęciach Colombo dopatrzyłem się swoją drogą zabawnych tramwajów – pudełeczek. Jeździły one po zupełnie nie wydzielonych torowiskach, wjeżdżając w piasek zalanych dorożkami ulic i do parków. Szkoda, że już ich nie ma...



Następnego dnia Kowshalya wpadła w uroczystą atmosferę, gdyż miał się ku ukończeniu projekt jej męża Tushity, który na Aesthetics University (współ)założył trupę teatralną Thespian Players. Miała ona również stanowić konkurencję dla Academic

Players z Kelaniya University. Dlatego poprzedzające premierę sztuki Tushity dni wypełnione były dyskusjami Tushity i pozostałych przyjaciół o wyższości jednych akademików nad drugimi. Owe polemiki zaczynały się zazwyczaj późno w nocy, gdyż Tushita całymi dniami przygotowywał swoją sztukę. Jedną z jego motywacji była też chęć ukończenia studiów silnym akcentem, jako, że buntownicza natura artysty sprawiła, iż miał on długą przerwę w studenckim życiu. Bawiły mnie te zażarte rozmowy w języku syngaleskim, w których pojawiały się jak magiczne zaklęcia nazwy obu zespołów.

Wreszcie pojechaliśmy na miejsce akcji. Po drodze zadzwonił do nas Dasun, narzeczony Sulochany, która niedawno grała w dramacie Dario Fo. Okazało się, iż posiada on sklep z indyjskimi artykułami spożywczymi niedaleko ratusza. Aby się z nim spotkać, wysiedliśmy wcześniej, dzięki czemu mogłem się przyjrzeć dwóm wspaniałym, neostylowym meczetom znajdującym się w tych rejonach. Jeden z nich był secesyjno – mauretański, o czerwonych, ceglanych elewacjach. Drugi wyglądał bardzo po południowoindyjsku, przywodząc na myśl ciężkie, roślinne budowle tamtejszych muzułmańskich władców. Piękny, choć zaniedbany, unosił się nad ulicami Colombo dźwigając na swych popękanych dachach i kopułach wiele młodych drzew i krzewów. Wyglądało to zupełnie fantastycznie – żywe rośliny pnące się we florystycznej, kamiennej fantazji architekta. Dasun opowiadał nam o swojej roli w lankijskim filmie wojennym. Opowiadał on o walce z Tamilskimi Tygrysami. Stwierdził, iż al – Kaida to przy nich małe piwo, bowiem tamilscy terroryści stworzyli za pieniądze swej rozsianej po całym świecie diaspory prawdziwą armię, posiadającą nawet łodzie podwodne! Zacząłem się mniej dziwić temu, dlaczego Lankijczycy nie mają nic przeciwko pakistańskim turystom w swoim kraju. Bushowa „wojna z terroryzmem” z perspektywy małej Lanki mogła się wydawać niegroźną zabawą. Przynajmniej ze strony tych silniejszych, czyli nazywających, a nie nazywanych. Swoją drogą zadziwiła mnie skromność lankijskich aktorów. Być może film Dasuna był bardzo komercyjny, ale jakby nie było, zagrał

w nim główną rolę. Największy szok jednakże przeżyłem, gdy spytałem się o wysokiego eleganckiego jegomościa, który podrzucił nas samochodem do Chilaw i odwiózł nas z Elphinstone Theatre. Nazywałem go w myślach „szoferem” i byłem przekonany, iż jest to jakiś bardzo skromny znajomy Kowshalyi i Prasadini nie mający nic wspólnego ze światem sztuk, podziwiający za to artystów. Okazało się, iż jest on bardzo cenionym, lankijskim aktorem, który osiągnął już sławę, a nie wspina się dopiero po śliskiej drabinie kinowej popularności. Gdy Kowshalya usłyszała moje określenie „szofer”, wybuchła głośnym śmiechem. Rzeczywiście, ów znany aktor miał wyraźną słabość do Prasadini i zwykle służył jej swoim samochodem. Ponoć piękne Lankijki nie należą do osób pruderyjnych, lecz póki co wolałem nie wdawać się w szczegóły.

Wesoło rozmawiając dotarliśmy na Aesthetic University. W dziedzińcu wydziału teatralnego ustawiona była już scena i krzesła, wiele osób siedziało już na miejscach i niecierpliwie czekało na sztukę Tushity. Zjawili się wszyscy niemal wykładowcy teatralno – filmowi z Uniwersytetu Kelaniya, oraz co zdolniejsi aktorzy Academic Players. Nie brakowało też studentów. Tushita, jak to on, biegał pomiędzy sceną, kulisami, a gośćmi, przypominając zdenerwowanego, ale też i szczęśliwego kapitana nowo zbudowanego okrętu. Nam zajęła miejsca Prasadini, usiedliśmy więc obok niej, obserwując zalecających się do niej mężczyzn. Na kierunki humanistyczne na Sri Lance uczęszczały głównie kobiety, co spowodowane było nie tylko względami znanymi w Europie, ale też większą ilością kobiet w stosunku do mężczyzn w społeczeństwie lankijskim. Lankijskie studentki wydawały się bardziej dziecinne od europejskich, tym niemniej wiele z nich starało się przyciągnąć uwagę czesząc długie do kolan, ciemne włosy, poprawiając sari etc. Ale nawet czesząc włosy (a czesanie takich włosów wymaga wiele przestrzeni, kilku krzeseł etc.) spozierały na biegającego w tą i wó w tą Tushitę, zaaferowane zbliżającym się wydarzeniem.



Wreszcie sztuka się zaczęła. Nosiła tytuł „11 krzesła” i składała się z jedenastu opowieści, w których grały również artystyczne meble. Pięć z owych opowieści stworzył Tushita, resztę różni jego przyjaciele. Niektóre z nich były odbiciem rzeczywistych wydarzeń, inne zupełnie abstrakcyjne, lub baśniowe. Wpierw w scenę zaczął walić znakomity lankijski perkusista, kolega aktorów z wydziału muzyki. Jego znakomite rytmy towarzyszyły cały czas przedstawieniu. Później na scenę, gdzie ustawiono krzesła, wkroczyli aktorzy i każdy z nich opowiadał w skrócie swoją historię, posługując się póki co ruchami ciała, nie zaś słowami. Wreszcie bohater pierwszej opowieści, będący wojownikiem, zgonił wszystkich ze sceny i zaczął piękną pantomimę ukazującą waleczną walkę z artystycznymi meblami. Był on kolegą Tushity z wydziału tradycyjnych sztuk. Gdy pokonał już wszystkie krzesła, zszedł ze sceny. Jego miejsce zajęła stewardessa, na przemian mówiąca i tańcząca tradycyjny taniec z Kandy. Słów oczywiście nie rozumiałem (a we wszystkich scenach było wiele humoru), lecz ujęło mnie połączenie tradycji z teatrem mówionym. Podobało mi się też, jak aktorka przechodzi od realistycznej mimiki twarzy i realistycznego ruchu, do miny wymuszonej konwencją tańca i schematycznych, precyzyjnych ruchów. Następną była przedszkolanka, zaś krzesła zmieniły się z klientów w małe dzieci. Dialogi przedszkolanki musiały być niezwykle komiczne, gdyż publiczność umierała ze śmiechu. Młoda aktorka grała znakomicie. Urocza, z gęstymi brwiami, przypominała nieco świetną indyjską aktorkę Kajol. Zauważyłem też, iż ekspresja młodej syngaleskiej kobiety, pewnej siebie i ustawiającej wszystkich, jest identyczna z ekspresją tego typu hindusek. Nawet melodia języka w tym momencie była nie do odróżnienia z hindi. Jak mi później wyjaśnił Tushita, za lekkością niektórych scen kryło się drugie dno. Mój przyjaciel postanowił bowiem mówić w wielu swoich pracach przede wszystkim o kobietach, których życie na Lance jest ciężkie, choćby dlatego, iż tak wielu mężczyzn zginęło, lub stało się kalekami podczas wojen syngalesko – tamilskich. Następną scenka stanowiła teatr w teatrze. Wysoka, młoda aktorka w

czapce z daszkiem rozparła się leniwie na krzesłach i nie pozwalając dojść do słowa pozostałym członkom ekipy, wyrażała swój bunt. Po niej na scenę wkroczył homoseksualista. Odegrał go znakomicie ów młody i wysoki cyklista, który zaraził mnie być może zapaleniem płuc. Krzesła w jego skeczu stały się kobiecymi ubraniami, które bohater przymierzał, kierując zabawne uwagi do właściciela salonu. Następny był mleczarz ze swoją trzodą krów (odegrały je krzesła). Skecz należał chyba do najmniej zabawnych, lecz aktor znakomicie wcielił się w rolę lankijskiego chłopca. Po nim na scenę wkroczyła dziewczyna opowiadająca jakąś straszną historię. Miała niepokojące oczy, stworzone do gry w horrorach. Historia z duchami i morderstwem w tle dotyczyła też wymogu dziewictwa wobec wychodzących za mąż kobiet. Później rozmawialiśmy o tym na papierosie z Dasunem i wykładowcą z Kelaniyi. Zauważyłem, iż moi rozmówcy bynajmniej nie mają zamiaru przyznać kobietom tej samej swobody seksualnej, jaka przyznawana jest mężczyznom, zaś problem postrzegali głównie w kategoriach nieszczęśliwego wypadku objawiającego się w przedmałżeńskiej stracie dziewictwa. Byli trochę przerażeni, gdy ze swej strony uznałem za nieszczęście oczekiwanie dziewictwa od kobiet przez małżonków. Nie wiem, jakie zdanie miał w tej sprawie Tushita i jak to wyraził w swojej scence.

Następna opowieść świadczyła o fascynacji Tushity teatrem fizycznym, która wypełniała nasze krótkie rozmowy w ostatnim czasie. Historia ukazywała mężczyznę, którego prześladowała własna ręka. Ławki zamieniły się zarówno w butelki z alkoholem doraźnie leczącym problem, jak i w łożo, na którym ofiara nie mogła zasnąć. Mężczyzna co rusz walczył ze swoją ręką, która po walce go bolała. Wreszcie, gdy udało mu się zmiążyć kończynę krzesłami, zbuntowała się druga ręka i bohater wypadł ze sceny wrzeszcząc. Kowshalyi aktorstwo w tej scenie najbardziej przypadło do gustu. Mnie podobali się wszyscy aktorzy, byłem naprawdę pod ogromnym wrażeniem i nie mogłem uwierzyć, iż są oni osobami z początku studiów, nie mającymi żadnych doświadczeń scenicznych (tylko jeden z nich miał,

zapewne przyjaciel Tushity grający homoseksualistę). Walka z ręką miała w dużej mierze abstrakcyjny charakter, ale można ją było zrozumieć jako alegorię niszczącego uzależnienia.



Ostatnia opowieść mówiła o dewotce. Krzesła ustawione przez walczącego z ręką pijaka stały się nagle ołtarzami. Za sceną aktorzy intonowali jakieś na poły chrześcijańskie psalmy, zaś rozmodlona kobieta w kółko się modliła zalana białym jak mleko światłem. Wreszcie jakiś drobiazg zirytował ją na tyle, iż nie mogąc się doprosić o usunięcie go wyimaginowanej „wyższej instancji”, wpadła w końcu w szał i zalana satanicznym światłem zaczęła niszczyć artefakty jej religijności. W trakcie tego niszczenia na scenę wkroczyli pozostali aktorzy i odegrali swoje pantomimy. Sztuka się skończyła, zaś wszyscy byli zachwyceni (może też niektórzy byli trochę zazdrośni, kto wie?). Pracując długo z zupełnie zielonymi jeszcze studentami, Tushita osiągnął w pełni profesjonalny, zachwycający efekt. Zatrudnienie do gry krzesel rekwizytów miało w sobie rzecz jasna wiele prostoty, z pewnością nie jedna osoba przed Tushitą na to wpadła, lecz było przecież rewelacyjnie teatralne i w sam raz na taki debiut. Tushita już od dłuższego

czasu marzy o wyreżyserowaniu filmu, ja zaś przekonałem się, iż jeśli dadzą mu dojść do głosu, będzie to na pewno dobry film.

Sztuka się skończyła i nastąpiły liczne rozmowy i gratulacje. Nawet Prasadini, będąca ostatnio sławną Antygoną Akademic Players pokręciła wymownie głową i rzekła „Thespian Players”. Tushita krążył między wszystkimi wyraźnie zadowolony i przyjmował słowa uznania. Następnie zgromadzeni zaczęli się rozchodzić i został tylko Tushita, oraz wykruszający się aktorzy. Czekają ich ogromnie niewdzięczne zadanie rozebrania sceny, czyli zderzenia drewna i rozłożenia na elementy pierwsze podtrzymującej go żelaznej konstrukcji. Z drewnianych płyt należało też usunąć wszystkie gwoździe, co okazało się niewiarygodnie żmudne. Nie mogłem uwierzyć, iż ekipa, która dostarczyła wszystkim tyle dobrego teatru, musi to wszystko robić sama. I to na wydziale dramatycznym, który chyba powinien posiadać własną scenę! Patrzyliśmy na to wszystko z Kowshalyą, po czym zaczęliśmy trochę pomagać. Jednakże po jakichś dwóch godzinach Tushita odesłał nas do domu. Sam chciał jeszcze oblać sukces. Zdziwiłem się, że nie robią tego razem z Kowshalyą, zwłaszcza iż ona lubiła drinki. Chyba moja młoda gospodyni była po prostu zmęczona, choć cały dzień spędziła na Facebookowej farmie i na plotkach ze znajomymi. Mimo to (a może właśnie dlatego?) musi być świetną aktorką, gdyż wszyscy zgromadzeni w Aesthetic University odnosili się do niej z ogromnym szacunkiem. Nie widziałem jeszcze jej gry, ale jeśli można ufać zdjęciom, bierze na siebie niezwykle trudne role (na przykład starych hiszpańskich kobiet z dramatów Lorki), poza tym reżyseruje, jest ostatnim dziełem było ni mniej ni więcej, tylko „Wesele Figara”. Kowshalya bardzo lubi zawarty w nim realizm.

Powrót okazał się dość szalony, gdyż podopieczni Tushity postanowili nas podwieźć motorami do Rajagirija. Niestety, Lankijczycy są straszliwymi kierowcami i czułem się na motorze jak kamikadze. Nie jechaliśmy bardzo szybko, lecz na zakrętach

niemal przewracaliśmy się, zaś wyboje okazywały się naprawdę dość szalone... Na domiar złego, mój motor się zepsuł i musiałem poczekać na drugi. Gdy wysiedliśmy na przystanku autobusowym, odetchnąłem z ulgą. Na szczęście autobus jeszcze był i nie musieliśmy brać rykszy.

Zgodnie z obietnicą Tushita wrócił nieco pijany i obudził mnie aby poczęstować się papierosem. Muszę przyznać, iż nie wysypiam się na Lance. Nocami budzi mnie Tushita, rano zaś Nalin i Kowshalya dyskutują tak głośno, iż zbudziłiby umarłego. Mam wtedy wrażenie, iż są na siebie naprawdę źli, ale nie – śmieją się. Po prostu lubią wrzeszczeć zamiast mówić, a wcale nie przesadzam, gdyż po Indiach jestem przyzwyczajony do ludzi, którzy nie znają pojęcia „szepc”. Po Indiach, ale też po południowej Francji. Ogólnie cechą ciepłych krajów jest totalny brak kultury ciszy. Francuzi przynajmniej zdają sobie z tego sprawę, wiedząc iż jest to przyczyną częstej u nich głuchoty na starość.

Następnego dnia postanowiłem w końcu zobaczyć ocean. Zorientowałem się, iż ostatni przystanek autobusu jadącego koło naszego domu tam się właśnie znajduje. Tym razem, ku mojemu zdumieniu, w autobusie puszczono muzykę, być może z uwagi na miesiąc ślubów. Wpierw mi się spodobała, gdyż niektórzy piosenkarze śpiewali w stylu folk. Niestety, prymitywna, discopolowa perkusja po jakimś czasie zaczęła nużyć. W indyjskich autobusach można usłyszeć zdecydowanie lepsze rzeczy... Nawet na poły ludowe głosy lankijskich śpiewaków po iluś szlagierach obnażały dwoją zbytnią prostackość. Innego dnia Nalin, który bynajmniej nie stroni od popularnych przebojów, nazwał tego typu muzykę „crazy music”. Lecz ja i tak byłem szczęśliwy, zwłaszcza gdy minęliśmy ratusz i wkroczyliśmy w rejony zupełnie mi nie znane. Im bliżej byliśmy oceanu, tym więcej ukazywało się moim oczom wysokich biurowców, świadczących o tym, iż jestem bądź co bądź w stolicy kraju.

Ostatni przystanek okazał się niezwykle, bowiem kończył się

dworcem położonym tuż nad oceanem. Linia kolejowa biegła tutaj tuż nad wodą, za nią było jakieś parę metrów skał i woda. Wspaniale to wyglądało. Mała stacja nazywała się Kollupitiya i posiadała niezwykle romantyczny urok. Wszedłem na pomost nad torami i zapałem oddałem się wchłanianiu błękitnej scenerii. Z jednej strony widać było na odległym planie pierwszy akwen tutejszego portu. W drugą stronę widać było tylko brzeg obwiedziony srebrną linią szyn i ocean. Nie było prawie fal. Wiele co większych jezior wygląda bardziej niespokojnie. Ciężko było uwierzyć, iż te bezkresne połączenie wody mogą być tak ciche. Nie zdziwiło mnie to, gdyż w Colombo, niestety, prawie nie ma wiatrów. Przez co powietrze potrafi być ekstremalnie gorące i wilgotne. Na stacji zaczepił mnie jakiś pracownik, odpowiadałem mu więc grzecznie. Bardzo często zdarzały mi się na tej wyspie takie nieoczekiwane rozmowy. Po wyjściu ze stacji jakiś dziadek chciał abym mu zrobił zdjęcie. Odmówiłem, obawiając się, iż po zrobieniu zdjęcia będę musiał zapłacić, przed czym ostrzegła indyjski przewodnik. Mężczyzna stwierdził zaś – „nie chcesz zrobić zdjęcia staremu Lankijczykowi? To ciekawy temat...”, po czym odszedł wyraźnie rozczarowany. Ja zaś po chwili ruszyłem w jego ślady, gdyż nie mogłem podziwiać oceanu z torów. Na tej trasie jeździło zadziwiająco wiele pociągów, a niektóre z nich wyglądały całkiem nieźle. Zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście zawsze tak się wloką.

Poszedłem więc na Galle Road. Wpierw wszedłem do jakiegoś bistro, gdzie z ogromną rozkoszą zagłębiłem zęby w jedzeniu nie będącym ryżem. Było to niedrogie, nie bardzo można było się tym najeść, ale i tak byłem szczęśliwy. Oczywiście coś w stylu francuskiego ciastka z rybą okazało się dość kontrowersyjne, natomiast kanapka z jajkiem i warzywami rozmarzyła mnie bez reszty. Mogło by być wprawdzie w niej mniej świeżego chilli, ale „hari, hari...” (co oznacza „ok.” po syngalesku).

Gdy ruszyłem w poszukiwaniu miejsca, gdzie linia kolejowa

odbiega od torów, zorientowałem się, iż w tym miejscu są całe tabuny policjantów i żołnierzy. Nic dziwnego – w tej części Galle Road znajdowały się liczne ministerstwa i ambasady. Wysokie i dość estetyczne drapacze chmur dopełniały wrażenia ważności okolic. Idąc na północ minąłem College i kościół metodystów, bardzo ładne w swoim rodzaju. Położone też nie najgorzej, gdyż tuż nad oceanem, jeśli nie liczyć linii kolejowej. Później natknąłem się na ufortyfikowaną i pełną uzbrojonych strażników wielką ambasadę USA. Rywalizowała z nią pobliska ambasada indyjska, sąsiadująca z innymi instytucjami rządu indyjskiego. Z pewnością z perspektywy Sri Lanki było to ogromnie ważne miejsce. Ów kraj dzieli od Indii tylko wąski przesmyk, zaś do wszystkich innych państw jest naprawdę daleko... Niezależność Lanki najeżdżanej tylko bardzo rzadko przez południowych Hindusów świadczy chyba tylko o niezbyt wielkiej wojowniczości tych ostatnich. Przynajmniej do czasu, gdy Tamilskie Tygrysy załatwiły sobie łodzie podwodne (obecnie (czyli od roku) Lankijczycy uważają, iż udało im się ostatecznie stłamsić owych separatystów, ale kto wie, jak jest naprawdę?). Następną atrakcyjną budowlą okazał się szkocki kościół St. Andrew's, prawdziwa perełka kolonialnej architektury, przypominająca jakiś gotycki relikwiarz i uroczo pomniejszona w tej swojej szkatułkowatości przez drapacz chmur ministerstwa przemysłu. Zaraz obok St. Andrews tory w końcu oddalały się od oceanu. Galle Road szła nad nimi, oferując urocze widoki. Zadziwiło mnie, iż tak uczęszczana linia kolejowa zarośnięta jest w dużej mierze wysoką, świeżą zielenią. Nie doceniłem chyba równikowej witalności roślin. Za torami po jakimś czasie natknąłem się na kurortowo brytyjski, sławny Galle Face Hotel. Znów widziałem tu wielu turystów, głównie starszych, doświadczonych w sztuce zażywania odpoczynku. Myślę, że brali mnie za Hindusa, gdyż nie zwracali na mnie uwagi, podobnie jak na miejscowych. Za hotelem pojawił się wreszcie nadoceaniczny deptak. Nie było tu jeszcze plaży, zaraz za deptakiem pojawiał się murowany spadek i za nim było trochę piasku zdobytego przez najbardziej upartych romantyków. W tym miejscu znajdowało się wielu indyjskich turystów, często

całe rodziny, z matką, synem i jego żoną, oraz ich dziećmi. Wyglądali na podekscytowanych i szczęśliwych, choć trochę zagubionych i jakoś bardzo dobrze ich rozumiałem swoim przepojonym Indiami umysłem. Po chwili jednak oderwałem od nich moje myśli i wpatrzyłem się w dziwnie spokojny Ocean Indyjski.

[Zobacz inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)